NOWY
DZWONEK.

PISMO MIESIĘCZNE DLA LUDU POLSKIEGO.

Rok XXIII. — Lipiec 1916. — Nr. 7.

NAKŁADEM WYDAWCY.

KRAKOWSKA DRUKARNIA NAKŁADOWA W KRAKOWIE.

Adres redakcyi: Kraków ul. Powiśle l. 12.

PROSIMY

Szanownych Czytelników naszych o zachęcanie znajomych i sąsiadów do prenumerowania „Nowego Dzwonka“. Szan. Czytelnicy widzą zapewne, że pismo nasze służy dobrej sprawie, bo zdrowej oświacie ludowej — więc kto się stara o rozszerzanie „Nowego Dzwonka“ i nakłania drugich do prenumerowania tego pisma, ten razem z nami pracuje dla oświaty ludu, dla dobra swych bliźnich.

Prosimy także wszystkich Przyjaciół naszego pisma, aby wspomagali nas **osobnymi naddatkami** na **„fundusz prasowy“** dla ,,Nowego Dzwonka“. Samą bowiem prenumeratą, niepodobna dziś, przy wielkiej drożyźnie papieru, druku i t. p. pokryć wszystkie koszta pisma, a my znikąd żadnej pomocy nie mamy.

Kto dziś wspomaga pismo katolickie, spełnia taki sam dobry uczynek, jakby dawał ofiarę na budowę kościoła; — tak orzekł jeden z ostatnich Papieży.

Rocznik XXIII. Kraków 1. Lipca 1916. Nr. 7

NOWY DZWONEK

PISMO LUDOWE

WYCHODZI **RAZ** W MIESIĄCU — OKOŁO DNIA **1-go.**

Prenumerata „NOWEGO DZWONKA“ wynosi w Austryi na rok: 3 korony — półrocznie: 1 kor. 50 hal. — Do Niemiec na rok: 4 kor. — Do Ameryki rocznie 1 dolar. — Numer pojedynczy: 25 hal.

Adres: Redakcya „NOWEGO DZWONKA“ w Krakowie, ul. Powiśle 12.

Przypomnienie!

Prenumerata „Nowego Dzwonka“ wynosi obecnie (z powodu wielkiej drożyzny artykułów drukarskich) na pół roku: **1** koronę **50** halerzy — a więc tylko o 25 halerzy więcej, niż dotąd było, a na rok: **3** korony.

Jest to tak mała kwota, że przy dobrej woli nawet i uboższy czytelnik na nią zdobyć się może, a ma za nią co miesiąc zeszyt pisma, z tych zaś zeszytów da się zrobić z końcem roku pouczająca książka, mająca wartość i na przyszłość.

Precz ze zbytkiem!

(Kilka uwag na czasie).

Wszystkie stowarzyszenia kobiet we Lwowie wydały w maju bieżącego roku odezwę zachęcającą wszystkie Polki, aby nie powodowały się głupią modą, która wymaga strojów kosztownych i często niedorzecznych, a nawet nieraz i nieprzyzwoitych, lecz, żeby ubierały się skromnie, jak tego wymaga obecna poważna chwila, aby popierały tylko krajowy przemysł przy zakupnie czy to materyałów na ubrania, czy innych rzeczy potrzebnych w gospodarstwie domowem.

Zaleca dalej odezwa jak największą oszczędność w przyjęciach i urządzeniach domowych, jednem słowem radzi Polkom

stanąć w „tak ważnej chwili dziejowej“ na wyżynie narodowej godności.

„Podążcie myślą“ — mówi odezwa — „na te pola krwawe, zasiane mogiłami naszych mężów, synów i braci, na te zgliszcza i ruiny zalegające polską ziemię, spojrzyjcie na te liczne rzesze wdów i sierot z trwogą patrzące w widmo śmierci głodowej i osądźcie same, czy licuje z okropnością obecnej chwili strój kosztowny i przesadny“.

Dałby Bóg, żeby te serdeczne i gorące słowa odezwy nie przebrzmiały bez echa, aby przyniosły one skutek teraz i w przyszłości — bo, zaiste, czas już wielki, aby kobiety polskie tak po miastach jak i po wsiach zrozumiały wreszcie, że stroje kosztowne rujnują nieraz całe rodziny a przez to i cały naród.

Narzekają pp. urzędnicy, nauczyciele, rzemieślnicy i robotnicy po miastach, że bardzo ciężka teraz ich dola, bo pensya i zarobki nie wystarczają, zwłaszcza dziś, nawet na najkonieczniejsze potrzeby życiowe.

Prawda, że dziś, przy ogromnej drożyźnie, trudno każdemu wyżyć, ale i przed wojną — choć było stosunkowo tanio, słyszeć można było te same narzekania.

I nie mogło być inaczej, skoro na stroje żon i córek szła większa część pensyi lub zarobku, a były to stroje — i dziś są także, zbyt kosztowne i po nad stan.

Tak kosztownie, jak się stroiły i stroją nadal, mimo biedy, polskie kobiety, tak się nie stroją nigdzie kobiety tej samej sfery, bo są mądrzejsze i zamiast wydawać grosz na fatałaszki — dają go do kas, by go mieć potem na czarną godzinę i na ważniejsze różne potrzeby życiowe.

A u nas, ileż to razy, bieda aż piszczy w niejednej rodzine, nieraz i jeść co niema w domu, ale za to nasze panie i żony rzemieślników oraz ich córki wychodzą na ulicę wystrojone, jakby córki co najmniej właścicieli dóbr.

A gdy przyjdą święta Bożego Narodzenia lub Wielkiejnocy — to w każdym prawie domu w mieście i na wsi tyle gromadzą jadła i pijatyki, że grosz na to wydany mógłby wystarczyć na życie nieraz i na miesiąc.

Podobnie ma się rzecz z różnemi uroczystościami familijnemi. Wesela, chrzciny, a nawet pogrzeby, urządza się u nas zbyt kosztownie i wystawnie, najczęściej przytem za pożyczane u żydów pieniądze.

Tak jest po miastach, tak jest i po wsiach, tak bywa w rodzinach urzędników, rękodzielników, tak i u włościan.

Nasze gosposie i dziewczęta wiejskie wydają także dużo grosza na różne szmatki; gospodarze rolni również trwonią wiele pieniędzy w karczmach i na jarmarkach, a chrzciny, wesela i pogrzeby wiejskie znane są z tego, że bywają oblewane nad miarę alkoholem — nieraz przez kilka dni z rzędu, przez co niejedna już rodzina zeszła na dziady.

I za granicą ludzie się bawią, i tam się stroją — ale nie tak kosztownie jak u nas, lecz więcej odpowiednio do swego stanu i do swych dochodów. Dlatego tam się ludzie dobrze mają materyalnie i rzadko w którym domu widać biedę.

My również moglibyśmy się mieć lepiej, gdybyśmy żyli oszczędniej, gdyby niewiasty polskie po miastach i po wsiach mniej wydawały na stroje, a mężczyźni mniej na pijatyki i różne hulanki.

Hasłem więc naszem teraz i po wojnie winny być te słowa: „precz ze zbytkiem!“ Należy je wielkiemi literami w każdej rodzinie na widocznem miejscu wypisać i według tego hasła potrzeby życia regulować, a z pewnością bieda od nas wnet ucieknie za lasy i góry.

Ważna rocznica.

W roku bieżącym przypada dla Polski wielki jubileusz, mianowicie 950 letnia rocznica zaprowadzenia chrześcijaństwa.

Dziewięć i pół wieku mija obecnie od owej pamiętnej chwili, kiedy na Polskę spłynęła łaska Boża i po ziemi ojców naszych rozeszła się Ewangelia święta.

Książę Mieszko, potomek Piasta, był jednym z tych wielkich mężów, który przyjąwszy Wiarę chrześcijańską, pchnął pogańską za jego czasów Polskę na nowe tory. Bojąc się, aby Niemcy pod pozorem nawrócenia Polski z pogaństwa na chrześcijanizm nie zdobyli jego państwa, wszedł w przyjaźń z królem czeskim Bolesławem, który dał mu za żonę swą córkę Dąbrówkę, ale pod warunkiem, że Mieszko z całym swym narodem przyjmie Wiarę Chrystusową.

Mieszko zgodził się chętnie na ten warunek, a gdy przybyła do Polski Dąbrówka, dał się z całym dworem ochrzcić w Gnieźnie. Stało się to 7 marca 966 roku.

Odtąd Polska przyjąwszy chrześcijaństwo z Zachodu, weszła w rodzinę państw chrześcijańskich zachodnich, od nich też wzięła potem oświatę i stała się później przedmurzem chrześcijaństwa przeciw nawale tatarskiej i tureckiej, która przez kilka wieków zagrażała zachodniej Europie.

Prawie w tym samym czasie przyjęły wiarę chrześcijańską wschodnie także ludy słowiańskie i południowe, to jest Rusini, Bułgarzy i Serbowie, ale przyjęli ją z Konstantynopola, ze Wschodu i we wschodnim obrządku.

Gdy Turcy ujarzmili południową słowiańszczyznę, chrześciańska wiara istniała tam wprawdzie dalej — ale z powodu schizmy, czyli odszczepieństwa od Papieża rzymskiego, stała się jakby skostniałą; schizma, która objęła i Rosyę — odcięła kościół wschodni od Zachodu — gdzie biło źródło oświaty i postępu.

Naród polski złączony obrządkiem rzymskim z Zachodem, wzrastał w potęgę — a za panowania królów z rodu Jagiellonów doszedł do szczytu świetności i sławy. Do tej świetności nie doszłaby była Polska nigdy — gdyby była swą wiarę i oświatę wzięła ze Wschodu, a nie z Zachodu.

A nawet po nieszczęśliwych rozbiorach Polski, uchronił ją obrządek zachodni, to jest rzymski i wyższa oświata od zniszczenia i zruszczenia przez wroga z północy, przez Moskala, który byłby z pewnością dość łatwo zmusił Polaków do przejścia na schizmę i zrobił z nich Moskali — gdyby Polacy byli przyjęli chrześcijaństwo we wschodnim obrządku.

Mając zaś obrządek rzymski — trzymali się Polacy silnie tego obrządku i przez to uratowali nietylko swą wiarę przed schizmą ale i narodowość swoją przed zruszczeniem.

Mamy przeto wiele do zawdzięczenia chrześcijaństwu przyjętemu z Zachodu, bo najpierw uratowało nas ono przed 9 wiekami od niewoli niemieckiej, a później od zagłady, jaką nam gotował Moskal.

Dziękujmy więc P. Bogu za ten dar wielki i trzymajmy się mocno wiary naszej świętej, bo ona była i jest w wielu okolicznościach jedynym ratunkiem naszym.

Odbudowa naszego kraju.

Z dniem 3 czerwca b. r. zaczęła w Krakowie swoją działalność „Centrala dla odbudowy Galicyi.“ Jest to urząd, który ma się zajmować odbudowaniem naszego kraju, zniszczonego wojną. Naczelnym kierownikiem tego urzędu jest wiceprezydent namiestnictwa Stanisław Grodzicki. Centrala ma 3 sekcye, czyli oddziały, to jest oddział rolniczy, techniczny i przemysłowy. Każdy z tych działów ma na czele znowu osobnego kierownika. Centrala załatwiać będzie wszystkie sprawy dotyczące odbudowy miast i wsi i zajmować się też będzie sprawą tymczasowego umieszczenia bezdomnych, udzielaniem zapomóg i pożyczek potrzebnych na podźwignienie gospodarstwa i przemysłu, w ogóle do niej należą wszystkie sprawy zapomogowe nie tylko wojną spowodowane, lecz powstałe w skutek klęsk elementarnych, jak powodzie, gradobicie itp.

Równocześnie z krajową Centralą dla odbudowy przeniosło się do Krakowa Biuro krajowej Komisyi i Opieki nad wojennymi inwalidami i sierotami wojennemi, oraz Biuro krajowe dla przydzielania jeńców do robót polnych, partyj żołnierzy do żniw oraz pośredniczenie w rozdziale koni wojskowych do robót polnych.

Że nasz kraj potrzebuje odbudowy — to o tem nikt nie wątpi, nikt temu nie przeczy, bo to rzecz jasna, jak słońce. Chodzi teraz głównie o to, by ta odbudowa przyszła jak najrychlej do skutku.

Nowy namiestnik Galicyi, jenerał baron Diller bawiąc w maju b. r. we Lwowie, w rozmowie z pewnym gazeciarzem tak mniej więcej się wyraził w sprawie odbudowy:

„W licznych podróżach zwiedziłem już prawie wszystkie połacie kraju i zdołałem stwierdzić, że zniszczenie, zwłaszcza w części północnej — jest bardzo wielkie, brak jest bydła, koni — a obsiewy niedostateczne. Natomiast w południowej części, a w szczególności na przestrzeni Sanoka, Sambora i Drohobycza prawie nie znać śladów straszliwych bojów.

O ile idzie o wyżywienie ludności, mam silne przekonanie, że nie tylko przetrwamy do nowych żniw, które dzięki Bogu, w całej monarchii i u nas w kraju, zapowiadają się bardzo pomyślnie, ale że nie zabraknie nam niczego i że bez dalszego podrożenia cen artykułów żywności nie doznamy żadnego niedostatku.

Z ubolewaniem musiałem spostrzedz — mówił dalej p. namiestnik, że bardzo źle przedstawiają się stosunki większej i średniej własności ziemskiej. Nie ulega wątpliwości, że zarówno ta własność ziemska jako i mieszkańcy srodze wojną zniszczonych miast i miasteczek wymagają natychmiastowej i znacznej pomocy rządowej.

Zgodnie z Kołem polskiem starałem się o sposoby do otrzymania tej pomocy, przekonałem się, że żądania Koła polskiego są słuszne i że należy wprowadzić je w czyn, o ile na to stosunki pozwolą.

Z przyjemnością stwierdzić tu muszę, — tak kończył p. namiestnik, że znalazłem u pp. ministrów w Wiedniu najlepsze chęci podźwignięcia kraju z niedoli, a minister skarbu, udzielając mi pewnych kwot na najgwatowniejsze potrzeby, przyrzekł udzielić krajowi niezbędnych funduszów i nie wątpię, że z czasem rząd wiedeński spełni wszystkie nasze życzenia.“

Nowa ofenzywa rosyjska.

Rosyanie rozpoczęli z dniem 4. czerwca b. r. nową, olbrzymią ofenzywę przeciw armii austro-węgierskiej na całym froncie wynoszącym 400 kilometrów, a ciągnącym się od Wołynia aż do granicy rumuńskiej.

Już od 8 miesięcy gromadzili Moskale na tym froncie ogromne masy wojsk, a Ameryka i Japonia dostarczyły im amunicyi w wielkiej obfitości, zaś Francuzi i Belgowie przysłali dużo oficerów i lotników.

Nic dziwnego, że takiej masie wojsk rosyjskich udało się w pierwszych dniach ofenzywy odeprzeć wojska austryackie na Wołyniu o kilkanaście kilometrów wstecz i zająć napowrót miasta Łuck i Dubno.

Także i na południowym skrzydle, tj. w północnej Bukowinie i sąsiadującym z nią skrawku Galicyi mieli Rosyanie małe powodzenie, bo udało się im zająć — już po raz trzeci Czerniowce — a w Galicyi Zaleszczyki, Śniatyn i Horodenkę.

Usiłowali też Moskale przebić front austryacki koło Tarnopola, oraz koło Wiśniowczyka, Buczacza i Jazłowca — ale tu zdobyli tylko Buczacz, dalej zaś iść im wojsko austryackie nie pozwoliło.

W sprawozdaniach wojennych rosyjskich przebija się wielka radość z tych częściowych zwycięztw; Moskale przechwalają się, że wzięli do niewoli około 160 tysięcy żołnierzy austryackich, że zdobyli 150 dział, dużo karabinów maszynowych i mnóstwo amunicyi i innych artykułów wojennych.

Ze strony austryackiej odpowiedziano na to krótkiemi słowy, że Rosyanie ogromnie przesadzają w tych przechwałkach; straty po stronie austryackiej są znaczne, to prawda — ale ani w porównanie iść nie mogą ze stratami rosyjskiemi.

Pewnem już jest, że Rosyanie w tych pierwszych dniach ofenzywy stracili przeszło 300 tysięcy ludzi i ogromną moc amunicyi i przyborów wojennych.

Główny dowódzca rosyjski, jenerał Brusiłow, tak szafował w tych walkach ludźmi i ich krwią, że w Petersburgu, w sferach wojskowych wywołał oburzenie. Brusiłow okazał się tu większym rozlewcą krwi ludzkiej, niż wielki książę Mikołaj Mikołajewicz, który był dowódzcą armii rosyjskiej w początkach wojny.

A szkoda było tyle ludzkiej krwi przelewać, bo owoce tej ofenzywy są rzeczywiście marne w stosunku do poniesionych przez Moskali ofiar. Frontu austryackiego Moskale nie przełamali, bo armia austryacka w Galicyi, a na Wołyniu armia austryacka i niemiecka stoją jak mur i nawet powoli wypierają napowrót wroga z zajętych przez niego przestrzeni.

Nie udała się więc — jak dotąd — i ta ofenzywa rosyjska. Jak się ona skończy, to jeszcze nie wiedzieć; gazety zagraniczne holenderskie, duńskie i rumuńskie piszą, że początkowe powodzenie Rosyan w tej ofenzywie nie wiele tu znaczy — bo obecnie ofenzywa ta już się łamie wskutek nadzwyczaj silnego oporu wojsk austryackich i niemieckich. Jenerał Brusiłow, który szedł do tej ofenzywy z armią 800-tysięczną — stracił już prawie połowę tej armii.

A jaki był cel tej ofenzywy rosyjskiej? Sądzono powszechnie, że Rosya chciała przez nią odciągnąć część wojsk austryackich z frontu włoskiego i część wojsk niemieckich z pod Werdun we Francyi — aby ulżyć jednym i drugim w ich ciężkich walkach, pierwszym z Austryą, drugim z Niemcami.

Tak pisały gazety rosyjskie — ale zdaje się, że nie ulżenie swym sprzymierzeńcom było i jest głównym celem tej nowej ofenzywy rosyjskiej — lecz jedynie Lwów i Galicya wschodnia. O tym celu zaczynają coraz wyraźniej pisać niektóre inne gazety rosyjskie. Podobno jenerał Brusiłow w roku zeszłym po opu-

szczeniu Lwowa, dał słowo honoru carowi, że po roku wróci znowu do Lwowa.

Dotąd jednak nie udało mu się spełnić to przyrzeczenie — miejmy w Bogu nadzieję — i w przyszłości się nie uda. Komenda austryacka zapewnia, że położenie na tym froncie dla nas coraz korzystniejsze.

Sprawa polska w sejmie węgierskim.

Na jednem z posiedzeń sejmu węgierskiego, odbytem w połowie czerwca b. r. zabrał głos hr. Juliusz Andrassy i znowu poruszył sprawę Polski.

Najpierw przypomniał mowca słowa kanclerza niemieckiego, który już dwukrotnie powiedział, że Niemcy na wypadek zwycięstwa są zdecydowane nie oddać Rosyi z powrotem Polski. Następnie wyrazł hr. Andrassy żal, iż francuskie, włoskie i angielskie gazety dość często w ostatnich czasach zaznaczały, że Polska nie może się już dostać pod panowanie rosyjskie, natomiast nasza monarchia dotąd w tej sprawie milczy.

Co do narodu węgierskiego, to „my“ — tak mówił dalej hr. Andrassy — „musimy oświadczyć, że nie zgodzimy się na żadny nowy podział Polski.“ W końcu zwrócił się mowca do prezydenta ministrów z uwagą, że odpowiednie oświadczenie ze strony rządu jest rzeczą konieczną.

Jeden z następnych mowców hr. Appnyi poparł hr. Andrassego i oświadczył, że jeżeli się uda wyprzeć Rosyan z Polski, to odebranie Polski Moskalom ma mieć charakter oswobodzenia Polaków a nie — zdobycia Polski.

Na drugiem posiedzeniu przemówił w sprawie polskiej prezydent ministrów węgierskich hr. Tisza, zapewniając posłów, że monarchia austro-węgierska dążyć będzie do tego, aby sprawa polska była załatwiona „z największem uwzględnieniem życzeń Polaków.“

Zniszczenie przez wojnę w powiecie gorlickim.

Do najbardziej zniszczonych okolic w kraju należy powiat gorlicki i miasto Gorlice. Nawała wojsk rosyjskich zajęła powiat

15 listopada 1914 r. i dzierżyła go przez 28 dni, tj. do 13 grudnia, a potem wróciła powtórnie 27 grudnia.

Od tego czasu, po ustaleniu się bojowego frontu środkiem powiatu, okolice te były widownią ciągłych walk, zniszczenia i pożogi aż do początku maja 1915 r.

Prawie przez cztery miesiące bez przerwy staczano tu ciągłe walki. Pociski armatnie i strzały karabinowe, pożary zagród i domów, zwiększało z dnia na dzień ruinę i zniszczenie, które do szczytu doszło i wreszcie skończyło się 2-go maja 1915 r.

W tym dniu, po nader gwałtownej i zaciętej bitwie wiekopomnej pod Gorlicami, przełamały wojska niemieckie i austryackie linię bojową Rosyan i odrzuciły wroga w kierunku skąd przyszedł.

Obrazem zniszczenia, jakie czyni wojna, są Gorlice, niegdyś miasto zasobne i ruchliwe a dziś świecące zgliszczami, ruiną i zwaliskami. W całem mieście pozostało zaledwie kilka domów o tyle mniej uszkodzonych, że je można było naprawić. Reszta domów jest tak spalonych, zniszczonych i zburzonych, że muszą być na nowo odbudowane.

Z gmin wiejskich, leżących wzdłuż linii bojowej, w stronie północno-zachodniej od Gorlic, najbardziej poszkodowane są wsie: Stróżówka, Łużna, Staszkówka, Mszanka, Moszczennica, Rzepiennik Marciszewski i Strzyżowski, Glinik Maryampolski, Zagórzany, a od strony południowo-wschodniej: Sękowa, Nieznajowa, Gładyszów, Blechnarka, Regietów i inne.

Jaki jest ogrom zniszczenia po wsiach dość wspomnieć, że w samej Łużnej, oddalonej 12 kilometrów od Gorlic, jest przeszło 320 rodzin silnie poszkodowanych. W gminie tej jest 201 domów włościańskich zupełnie spalonych a 91 kulami rozbitych, częścią rozebranych, a nadto 200 zabudowań gospodarczych pod osobnymi dachami uległo zupełnemu zniszeczeniu.

W kilku wsiach spalone są kościoły lub bardzo uszkodzone; uległo również uszkodzeniu lub całkowitemu zniszczeniu wiele budynków plebańskich, a szkoły prawie we wszystkich gminach zniszczone i obrabowane.

Po ustąpieniu wroga rząd wiedeński przyszedł z pomocą kilkunastu milionami koron na doraźną odbudowę schronisk dla bezdomnych. Z zasiłku tego otrzymało miasto Gorlice 400 tysięcy koron a poniszczone gminy w powiecie otrzymały 650 tysięcy koron.

Praca odbudowy Gorlic i wsi w powiecie rozpoczęła się w roku 1915. Odbudowano już lub naprawiono pewną część budynków wiejskich — ale na zupełną odbudowę potrzebaby jeszcze co najmniej 1-go milona koron.

ROZMAITOŚCI.

Dobrzy ludzie. W ostatnich czasach przysłali nam niektórzy czytelnicy znowu naddatki na „fundusz prasowy“ dla Nowego Dzwonka, kilku przysłało te „naddatki“ nawet po drugi; raz z życzeniem, aby „Nowy Dzwonek“ mógł się utrzymać i rozwijać.

Wszystkim tym dobrym ludziom serdecznie dziękujemy za tę życzliwość i pomoc, bez której nasze pismo nie mogłoby wychodzić, bo samą prenumeratą nie można pokryć ani połowy kosztów wydawnictwa.

O dalsze naddatki uprzejmie prosimy przyjaciół naszego pisma.

Wiadomości o rannych, chorych, lub zaginionych żołnierzach daje całkiem darmo biuro wywiadowcze Czerwonego Krzyża w Wiedniu. Adres jest następujący: **Auskunftbureau vom Rotem Kreuze Wien VI.** Dreihufeisengasse Nr. 4.

Ostrzeżenie w sprawie handlu ziemią. Komenda wojskowa I. korpusu dowiedziała się od cenzury listowej, że niesumienni spekulanci wyzyskują nieświadomość ludności i namawiają ją do sprzedawania za każdą cenę swojej ziemi, niby dlatego, że ziemia przez wojnę straciła na wartości.

Otóż należy pouczyć ludność po za frontem i żołnierzy, że z wartością ziemi ma się rzecz wręcz przeciwnie, bo wartość ziemi wzrasta w cenie, więc trzeba się mieć na baczności przed spekulantami i donosić o nich władzom.

Znowu wypadki z nabojami. W Steniatynie (pow. Sokal) kilku chłopców znalazłszy w polu granat, schowało go potajemnie pod schodami w cerkwi, a w jakiś czas później chcąc sobie urządzić strzelaninę, rzuciło granatem o ścianę tak silnie, że ten eksplodował i zabił na miejscn trzech chłopców a nadto kilku z nich dotkliwie pokaleczył.

Podobny wypadek jednak o mniejszych rozmiarch wydarzył się również w Żużelu (pow. Sokal), gdzie Michał Treszków, lat 11 liczący, nazbierał w polu kilka ostrych naboi karabino-

wych, poczem włożywszy jeden z nich do dziurki w siewniku, uderzył żelazem, a wskutek eksplozyi doznał ciężkiego uszkodzenia na ciele.

Kobieta wójtem w Galicyi. Wojna wymiotła mężczyzn ze wsi Bolesławia w Dąbrowskiem nad Wisłą prawie zupełnie. Pozostali tylko starcy i dzieci. Zachodziła przeto obawa, kto rolę uprawiać będzie, kto dokona orki, przeprowadzi jesienny i wiosenny zasiew.

Dzieła tego podjęły się kobiety i dziewczęta. Jak sprawnie wzięły się do pługa, bron i siewu, świadczy wymownie obecny stan zbóż. W sierpniu ubiegłego roku powołano do wojska wójta z Wólki Grądzkiej, Jana Lizaka, nie miał więc kto spełniać funkcyi wójtowskich. Żona powołanego do wojska Agata Lizak, ujęła w sprężyste swe ręce zarząd gminy i piastowała go chlubnie przez kilka miesięcy.

Opłaty od listów i kartki pocztowe podrożeją w Austryi w najbliższym już czasie.

Kartka pocztowa kosztować ma 8 hal., zamiast 5, opłata za list zwykły 15 hal. zamiast 10, a należytość za telegramy po 8 hal. zamiast po 6 za słowo.

Niegodziwy wybryk. W kościołach lwowskich krążą w czasie nabożeństw niedzielnych kartki pisane niezgrabnen pismem kobiecem, zawierające gorącą prośbę do św. Antoniego, aby „wojna obecna trwała jak najdłużej, gdyż teraz dopiero dobrze się im powodzi“.

Daremnie księża karcą te wybryki z ambon, daremnie tłómaczą, że nie godzi się prośb podobnych do św. Antonego zanosić — nierozumne kobiety nie ustają w modlitwach.

Donosi o tem „Gazeta wieczorna“.

Żelazne 20-sto halerzówki będą wprowadzone niebawem w Austryi.

Zniszczenie w Polsce. Jedna z gazet rosyjskich podaje ciekawe liczby o zniszczeniu przez wojnę w Polsce. Z ogólnej liczby budynków, których było 3 miliony 600 blisko, 1 milion zupełnie jest nie do użycia, a przeszło pół miliona jest bardzo uszkodzonych. Straty stąd powstałe wynoszą 158 milionów rubli.

Warszawa w cyfrach. Po niedawnem przyłączeniu przedmieść warszawskich do Warszawy, wynosi obecnie liczba mieszkańców 948 tysięcy 491; — z tego chrześcijan jest 596 tysięcy 929 — żydów zaś przeszło 351 tysięcy. Z powodu wojny opuściło Warszawę przeszło 200 tysięcy osób; gdyby ci mieszkańcy byli pozostali, liczyłaby dziś Warszawa przeszło 1 milion osób. Mieszkań w 10.331 domach jest 238 tysięcy 656 — z tego obecnie przeszło 43 tysiące są niezamieszkałe.

Żydowski Matuzalem. W Czerniowcach (na Bukowinie) żyje niejaki Srul Berkowicz, który urodził się w r. 1801, a więc liczy obecnie 115 lat życia. Mimo niezwykle sędziwego wieku, cieszy się doskonałem zdrowiem, niezawodną pamięcią i żywo interesuje się wypadkami obecnej wojny.

Bogaty żołnierz. Gdy niedawno temu oficerzy 86 pułku piechoty zachęcali swych podwładnych żołnierzy do podpisywania ostatniej pożyczki wojennej, wystąpił z szeregów zwykły żołnierz Koloman Cseey, z zawodu hodowca świń na Węgrzech, i oświadczył gotowość zdeklarowania na ten cel półtora miliona koron. Jak sam później opowiedział, na poprzednią pożyczkę złożył milion koron. Przed trzema jeszcze laty posiadał całego majątku 10.000 koron, jednakże w czasie wojny dorobił się na handlu nierogacizną kilku milionów tak, że obecnie jest jednym z najbogatszych handlarzy.

Odzyskał nagle wzrok. W klinice ocznej w Wrocławiu odzyskał nagle wzrok pewien inwalida wojenny, który wskutek strzału w głowę zaniewidział na oba oczy. Pijąc pewnego dnia kawę wykrzyknął do towarzyszów: „Ludzie, ja was znowu widzę!“ Radość żołnierza z odzyskania wzroku była wielka.

Radość powodem śmierci. Pewna kobieta w Gelsenkirchen (w Niemczech), której mąż na wojnie „zaginął“, spotkała go niespodzianie na ulicy. Nagłem i niespodziewanem ujrzeniem męża przejęła się do tego stopnia, że ruszona została paraliżem i padła na miejscu trupem.

Uprawa ryżu na Węgrzech. Pewien Węgierski bank zakupił dobra hrabiego Eugeniusza Karatsony'ego głównie w tym celu, aby na przestrzeni 600 morgów spróbować uprawy ryżu.

Kiedy się doczekamy pokoju?

Przez cały maj przynosiły gazety prawie codziennie różne pogłoski o zbliżającym się pokoju. Pogłoski te nie były całkiem

bezpodstawne, bo opierały się na wynurzeniach różnych polityków i kierowników rządów.

I tak: kanclerz państwa niemieckiego Bethmann-Hollweg już kilka razy oświadczył w parlamencie niemieckim i prywatnie, że Niemcy nie chcą przewlekać przelewu krwi — i byłyby skłonne zawrzeć pokój, gdyby i przeciwnicy tego sobie życzyli.

Ale przeciwnicy o pokoju słyszeć nie chcą. Szczególnie Anglia dyszy dalej żądzą krwi i podjudza swoich sojuszników (Rosyę, Francyę i Włochy) do dalszego prowadzenia wojny aż do zgniecenia Niemiec.

Wobec tego Niemcy przez usta swego kanclerza, a Austro-Węgry przez usta ministra spraw zagranicznych Buriana, oświadczają także, iż wojnę prowadzić będą aż do zupełnego zwycięstwa, aż do ostatniego żołnierza.

Prezydent Stanów Zjednoczonych północnej Ameryki, Wilson, zamierzał już wystąpić jako pośrednik pokojowy między stronami walczącemi — ale w obec oporu Anglii, nie poczynił dotąd żadnych w tym kierunku kroków.

A cóż na to wszystko ludy Europy? Ojciec święty przyjmując pewnego dnia w czerwcu delegatów jakiegoś bractwa z Rzymu, wspomniał w rozmowie z nimi, że otrzymuje mnóstwo listów z różnych krajów Europy z prośbami, aby się starał o przyspieszenie pokoju.

Więc ludy wszystkie, tak u nas jak i po stronie przeciwnej, pragną pokoju, pragnie go też bardzo Ojciec chrześcijaństwa — ale tym pragnieniom stoi na przeszkodzie Anglia.

Największym więc dziś zbrodniarzem świata jest Anglia, ona bowiem przedewszystkiem, sama nie wiele tracąc, sprzeciwia się pokojowi, bo chce wszystkie mocarstwa we wzajemnych walkach osłabić, i sama potem w przyszłości wzróść w większą jeszcze potęgę.

Morze krwi ludzkiej wsiąkło już w ziemię, zwłaszcza w ziemię polską — i nie wiadomo kiedy wreszcie ta krew lać się przestanie.

Nadzieje pokojowe, które w maju wielką radością przejmowały ludzkość, znowu zawiodły, natomiast rozgorzał płomień nowej wojny na froncie wschodnim, i nowe jeszcze walki, nową ofenzywę zapowiadają nasi wrogowie na innych także frontach.

Z POLA WÓJNY.

Na froncie wschodnim (rosyjskim) toczą się zacięte walki, tak na Wołyniu jak i nad Strypą, w Galicyi. Obie armie, tj. austryacka i niemiecka odpierają dzielnie masowe ataki Rosyan. Armii niemieckiej, którą dowodzi jenerał Linsingen udało się pobić Rosyan na Wołyniu i zmusić ich do ucieczki. Armia ta zajmuje coraz więcej przestrzeni.

Rosyanie sami przyznają, że Austryacy i Niemcy stawiają coraz silniejszy opór, który wyczerpuje siły wojsk rosyjskich. W Wiedniu panuje silne przekonanie, że staraniom armii austryackiej i niemieckiej uda się i tym razem udaremnić ofenzywę rosyjską.

Jest też rzeczą pewną — tak mówią w Wiedniu, że w krótkim czasie zajdą wypadki, które wykażą — iż nie było i nie ma powodu do zaniepokojenia.

Na froncie francuskim zamierzają Anglicy rozpocząć ofenzywę we Flandryi. Zacięte bitwy toczą się też bez przerwy koło Verdun, gdzie Niemcy odpierają ciągle ataki francuskie, i choć powoli, posuwają się naprzód.

Na froncie włoskim ofenzywa austryacka nie ustała. I tu, chociaż Włosi przeszli do ataków, Austryacy nie dają się i to, co niedawno zdobyli, silnie dzierżą — a przytem idą naprzód.

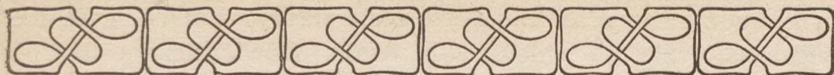
TO I OWO.

Ile kosztuje strzał armatni?

Pytanie to można omawiać obliczając wystrzał z działa amerykańskiego — o działach bowiem niemieckich lub austryackich mówić dziś nie można.

Otóż jeden strzał z działa polnego amerykańskiego 7·6 centymetrowego kosztuje 60 koron, z działa 12 centim. 169 koron, z działa 15 centim. 364 koron.

Od tej granicy koszta skaczą jeszcze stosunkowo wyżej. Strzał z 30 centimetr. moździerza kosztuje 1810 koron, z 30½ centr. moździerza 3036 koron. Największe są koszta strzału z 35 centimetr. moździerza i z 40·6 cent., bo taki jeden strzał kosztuje od 4816 koron do 7280. Nieobjęte są tu jeszcze koszta zużycia działa przez liczne strzały.



Złote myśli i zdania.

Pracować trzeba, ile nam sił stanie.
Nie temu bowiem Pan w niebie zapłaci,
Kto złoży ręce, mówiąc: Panie! Panie!
Ale kto dobre przyczyni dla braci.

(Z pism *E. Odyńca*).

* * *

Człowiek nie jest stworzony na łzy i uśmiechy.
Ale dla dobra bliźnich swoich ludzi.

(Z pism *Adama Mickiewicza*).

Dzieci w lecie.

(Pogawędka).

Minęły urocze miesiące wiosenne, mamy już lato. Człowiek, jak w ukropie, biega i pracuje, żeby żadnego z doczesnych darów Bożych nie zmarnować, w porę skosić siano, w porę wykonać wszystkie roboty polne, w porę zabrać się do najważniejszej z tych prac, zebrania nagrody za te wszystkie swoje trudy: żyta i pszenicy i zbóż wszelakich. W tej pracy pośpiesznej przestaje myśleć o wielu, wielu rzeczach, o których jednak koniecznie pamiętaćby należało.

Przejdźmy-no tak teraz w jakiejkolwiek porze dnia przez wioskę naszą. Na wiele niedokładności możnaby tu zwrócić uwagę, ale poprzestaniemy dziś na jednem tylko spostrzeżeniu. Oto co chwila z jakiejś chaty wybiega matka i woła:

— Jasiu-u! Jasiek! Gdzie ciebie poniosło?!

— Stasiu-u! Stasiek! A to kara Boska z tym łajdakiem!

— Antek! Ante-ek!

— Marynka-a! Znowu gdzieś polazła, a tu dziecko drze się!

Najczęściej na te wołania nikt nie odpowiada. Matka, zła, zatrzaskuje z hałasem drzwi i wraca do swojej roboty.

Oj! nie wracaj ty, matko, do tej roboty z takim spokojem, zamąconym jedynie przez złość! Choćby była najpilniejsza, rzuć

ją i chodź ze mną. Ja ci pokażę wiele rzeczy, których może nie widziałaś, a źle, bo widzieć było twoim obowiązkiem.

Chodź za mną do sąsiedzkiego ogrodu. Patrz-no, na jabłoni siedzi chłopak kilkuletni, obrywa jabłka niedojrzałe, pakuje je do kieszeni, potem złazi z drzewa, ogląda się, czy go kto nin widzi, i wyłazi przez dziurę w parkanie. Widzisz-że, kto to taki? Nikt inny, tylko Jasiek twój, którego przed chwilą wołałaś i tak prędko dałaś pokój temu wołaniu. Rwie jabłka niedojrzałe, zaraz będzie je jadł, potem rozchoruje się, dostanie biegunki krwawej, a kto wie, może i życiem to przypłaci. Nic to jeszcze: pomyśl tylko, czyje to on jabłka tak obrywa? Ano? sąsiedzkie. Na złodzieja rośnie twój syn, matko, na obrazę Boską go wychowałaś. Teraz czekaj, rychło-li poprowadzą go w kajdanach do więzienia. On nie poprzestanie na jabłkach: jak to mówią—od łyczka do rzemyczka, a ztamtąd i do koniczka niedaleko.

A może ciekawa jesteś, gdzie jest i co robi twój Stasiek? Niedaleko go szukać potrzebujesz. Ot, szopa jednego z twoich sąsiadów. W ciemnym jej kącie, gdzie test złożone siano zeszłoroczne, błyszczą jakieś ogniki. Rety! Toć to pożar pewny, cała wieś może pójść z dymem! Co za waryaty tam palą papierosy?

Na krzyk twój ogniki gasną. W sianie szelest, przez dziurę w płocie, który tworzy ścianę szopy, wyskakuje kilku malców 8—9-cioletnich i ucieka przez ogrody. Poznajesz między nimi Staśka?

Chodźmy jeszcze szukać Antka. A spieszmy bardzo, bo może go już nie trzeba będzie szukać, może ci go sami ludzie przyniosą. Spieszmy, póki czas. Tam w rzeczce, pod kołem młyńskiem, pluszcze się kilkanaście ciałek białych. Pluszczą się bez pomiarkowania, godzinami siedzą w wodzie, nie zważając na niebezpieczeństwo kurczu, na zdradne głębiny i wiry. Ten smarkacz, Antek, choć od ziemi jeszcze nie odrósł, próbuje sztuk rozmaitych, które i dorośli nieraz życiem przypłacają. Wyłazi na belki nad kołem, skacze ztamtąd do wody... Jak nic, trafi pod koło... Ot, co robi twój Antek.

Kiedy już zaszliśmy tak daleko, to może jeszcze i Marynki poszukamy. Tuż obok łączka, na łączce krzaczki wierzbiny. Opodal pasie się porzucone stadko gęsi. Zaglądnijmy pod krzaczki. Ho-ho! Ktoby mógł przypuszczać, że tam tak liczne zebrało się towarzystwo! I chłopcy, i dziewczęta! Jakoś dziwnie to towarzystwo wygląda. Oczy rozognione, ręce splecione, objęcia,

szepty... Chłopak jakiś coś opowiada pocichu, a reszta oczy w niego wlepiła, słucha, jakby w gorączce, i czasem zlekka chichocze. Oj, coś niedobrego tam się święci. Matko! zabierz ztamtąd corychlej swoją Marynkę, bo to gorsze od ognia, od wody!

Zebraliśmy już twoje dzieci, matko. Widzisz teraz, co się z niemi działo? Wołałaś na nie. Nie wystarczy tylko wołać. Trzeba pójść i poszukać samemu. Niech lepiej przepadnie wszystko w chacie, niech sama chata przepadnie, niż mają dzieci przepadać. Ale już i wtedy, kiedy szukać trzeba, źle jest. Dziecko nie powinno ani chwili znajdować się gdzieś tak, by matka lub ojciec nie wiedzieli, gdzie ono jest. Ojciec teraz na wojnie, do ciebie więc, matko, prawie wyłącznie należy pilnowanie dzieci. Nie pozwalaj im wychodzić z chaty, bez zawiadomienia ciebie o tem, dokąd i poco idą. Daj im jakieś zajęcie w domu, przy gospodarstwie, przy książce. A gdy wyjdą gdzieś za twojem pozwoleniem, nie żałuj czasu i fatygi, pójdź, sama się przekonaj, czy naprawdę poszły tam, gdzie im pozwoliłaś, skontroluj je. Nie pozwól, by wyrosły na złodziei, łajdaków. Pan Bóg, dając ci je, dał i obowiązki wielkie, które pod grzechem śmiertelnym święcie musisz wypełniać. O tem nie zapominaj nigdy.

Celny strzał.

We wsi Drogini pod Myślenicami mieszkał Józef Mazur. W ojcowskiej chałupie mieszkał i ojcowski grunt uprawiał, bo, choć żonaty był i dzieckami obdarzony, do własnej zagrody dojść nie mógł. Stary Mazur nie ufał mu oczywiście i pomimo to, że był latami sterany i w pracy ciągłej osiwiał, chałupy na imię syna przepisać nie chciał.

— Józek mi jeszcze grunt gotów sprzedać — mawiał — do Hameryki pojedzie, a co ja wtedy zrobię? Na poniewierkę nie pońdę.

To też dzierżył mocno chałupę i grunt.

Przyszedł rok 1914. Zawierucha się jakaś na świecie gotowała i na długo przed nią panowie i księża, a także i wędrowne dziady o niej gadały. Połowa lipca dochodziła i żniwa były już w toku, gdy nadszedł z gminy pozew na Józka, by do koszar artyleryi na Łobzowie rukował.

Józek krzyw był na to srodze, bo właśnie kupił był sobie od jawornickiego gospodarza Znaleźniaka takiego siwka, o jakim marzył oddawna, a konisko to udało mu się niezgorzej, bo żerne było i pociągliwe, aż miło. Markotno więc mu było chudobę opuszczać, ale z drugiej strony wiele tam sobie z tej mobilizacyi nie robił. Wszak przesłużył w wojsku — jako rekrut artylerzysta rok 1908, kiedy to wszystko gadało, że wojna będzie, — a nie była. Wszak trzy lata temu do Bośni go znów powołali, dwadzieścia cztery niedziele w służbie przetrzymali i zdrowego, bez wojny, a z krzyżem na czarnożółtej wstążce do domu puścili. Nie dziwota więc, że i teraz ni strachu, ni niepokoju zbytniego nie czuł. Złość go ino brała, że dla jakichś Serbów jemu żniw dokończyć nie dają.

Sąsiad jego, Wojtek Różyc, powołany równocześnie z nim, do ułanów szedł z dużo większą żałością i obawą, bo w prawdziwą wojnę wierzył i jej się obawiał.

Gdy dzień odjazdu nadszedł, poszli razem do drogińskiego kościoła, dali się księdzu na spowiedzi świętej wysłuchać i do Myślenic podążyli. Baba Józkowa zawodzić chciała, ale ją Mazur powstrzymywał i wypomniał jeszcze, jako to przed czterema laty przy takiem pożegnaniu łzawem obejścia nie dopilnowała, tak, że świnia pół zagonu ziemniaków bezkarnie zryć zdążyła, zanim się oboje opatrzyli. Najstarszemu synowi, Staszkowi, ostro zapowiedział, żeby o konia dbał, żeby go zimną wodą po robocie nie poił, i zagroził, że jeśli koń wychudnie, albo zakuleje, to mu za powrotem plecy rzemiennym paskiem przejedzie.

W koszarach artyleryjskich na Łobzowie otrzymał nowiutki mundur, żółte także nowe buty, karabin, świeżo naoliwiony, poczem przydzielono go do bateryi. Z prawdziwą uciechą wziął się do obsługi armaty, bo robotę tą jeszcze z wojska polubił. Złościło go tylko, że rura armaty, którą dawniej do żywego blasku polerować lubił, teraz pociągnięta była szarą farbą, a przez to tak jakoś smutnie wyglądała.

Przez tydzień zaledwie ćwiczyli się w zapomnianych nieco chwytach i obrotach, a potem załadowano ich w wagony i powieziono ku Serbii. Tam dopiero przekonał się, że ta wojna to już zrobiona na prawdę. W wesołej kompanii podkrakowskich zuchów, w jakiej się znalazł, czasu na myślenie o niebezpieczeństwie nie było. To też to pierwsze wrażenie ognia nieprzyjacielskiego łatwo mu było przetrzymać. Po kilku tygodniach wojowania szrapnele i granaty pękające około nich przestały na

nim robić wrażenie, tak że mógł służbę spokojnie i bez zmęczenia pełnić. Do znoszenia trudów był od dziecka zwyczajny, a jedzenie to nawet lepsze miał teraz, niż w ojcowskiej chałupie.

W pierwszym miesiącu wojny strat wielkich w bateryi nie mieli. Raz tylko granat ubił im celowniczego i Józek Mazur, jako najstarszy ze wszystkich żołnierz, objął jego obowiązki.

Zajeżdżali zwykle z armatami na miejsca zakryte, okopywali się na prędce, łączyli telefonem posterunek obsarwacyjny z baterą, i rozpoczynali zwykłe strzelanie. Bitew toczących się przed nimi nie widzieli nigdy; z szybkości tempa strzałów karabinowych nauczyli się jednak odróżniać i ocenić ich przebieg. Domyślali się, kiedy następował atak, a kiedy tylko placówki odstrzeliwały się od niechcenia. Nie widząc nigdy artyleryi nieprzyjacielskiej, umieli po rodzaju wybuchów rozpoznawać jej rodzaj i ilość armat. Siedząc w dolinie odczuwali tętno bitwy i rozumieli dobrze jej przebieg tam za górą, wiedzieli, kiedy przyjdzie im pójść naprzód, a kiedy wypadnie im sią cofnąć. W takie żmudnej, a pozornie mechanicznej robocie schodziły im długie tygodnie wojny.

Przewędrowali potem świata nie mało. Bili z armat pod Belgradem i na polach Kraśnika, na błotach gródeckich i na czarno-ziemnych pagórkach ziemi proszowskiej. Tam zastał ich początek grudnia. Baterę ich odwołano stamtąd pod Kraków, a później odesłano na Podkarpacie szosą Myślenicką.

W Józku Mazurze rozradowało się serce, gdy się znów ujrzał w dobrze znanych stronach. Witał z radością mogilańską górę, rozpatrywał się chciwie po Jawornickich lasach i tylko ciekawość go paliła, dokąd też dzisiaj zajadą.

Noc już zapadała, gdy przejeżdżali za Myślenicami most na Rabie. Wszak stamtąd już ino cztery kilometry do jego Droginі, na piechotę zaleciałby za dziesięć pacierzy! Ale nic z tego. Kapitan na przedzie bateryi jadący skręcił w bok na osieczańskie pola. Tam zjechali i w cieniu rozłożystych drzew ustawili armaty.

Mróz przeszedł po kościach Mazura, gdy usłyszał rozkaz wycelowania armat rychtyk w stronę Drogini. Stamtąd dochodziła ich palba karabinowa.

— Te psubraty widać aż tutaj zalazły — zaklął w duchu Józek, pilnując okopania armat — ażeby ich wciorności spaliły — życzył im po cichu.

Ale nie było czasu na rozmyślanie. Trzeba było zamek naoliwić, drut do pozycyi obserwatora założyć, dekunek na skład amunicyi wykopać i dach z okrąglaków i darni nad nim założyć. Ledwo to wszystko zarządził i zrobienia dopilnował, gdy nadjechał szwadron ułanów, przydanych im na ten dzień bitwy, jako osłona artyleryi.

Popatrzył po szeregach, aż tu, o dziwo, poznał wśród szarych mundurów Wojtka Różyca.

— A tośmy się tu cudem zjechali — zawołał do niego radośnie.

— Toż ty łazisz jeszcze po świecie, a myślałem, że cię święta ziemia już dawno nakryła — odrzucił wesoło mu Wojtek.

I wnet zaczęli się dzielić wiadomościami, jakie ich od rodzin dochodziły, i dziwować się razem, że się akurat tutaj spotkali i złorzeczyć tym „burkom“, co gdzieś tam z pod Syberyi aż tutaj do ich wsi rodzinnej się, jak złe psy, zwalili. Gadali z sobą przy słabem ognisku coraz powolniej, coraz niewyraźniej, aż wreszcie sen zmęczone ich członki zmorzył i zasnęli z myślą o tem, co się tam w Drogini za górą dziać może.

Ino świt się zrobił, a już przyciszona w nocy muzyka karabinów ozwała się znowu. Józek nawarzył sobie kawy konserwowej w menażce i z niepokojem czekał, co też dzień im przyniesie. Niezadługo padły rozkazy od obsługującego telefon żołnierza.

— Pięć tysiący sześćset, pierwsza — druga pięć tysięcy czterysta — trzecia, czwarta szrapnelami.

W mig nastawiono odległość na zegarach pocisków, naładowano zamki, i pierwsze strzały padły.

— Zbliżyć o pięćdziesiąt metrów — dudniał telefon.

Nabili, strzelili i znów czekają. Nowy rozkaz!

— W prawo pięć stopni.

Znów strzały. Widać skutek był dobry, bo pada komenda:

— Granaty salwami.

Robota wre. Ale i Moskale się już obudzili. — Nad sosnami zaszumiał szrapnel i trzasnął nad łączką za nimi, leci drugi, lecz jeszcze dalej się rozpękł.

Józek zaczyna szydzić:

— Pukajcie pieski, pukajcie, może zająca gdzie ubijecie, to się nam przyda na połednie.

Znów szrapnel nadleciał, ale nie wybuchł, tylko zakoziołkował po ośnieżonej roli.

Pada komenda:

— Wstrzymać ogień.

Od linii dochodzi ich pojedyncza strzelanina.

Oficerowie porozumiewają się z sobą przez telefon. A potem przerwa. Widać obserwator zmienia pozycyę. Mijają długie godziny. Znów kilka razy strzelili, odpowiedziały im armaty nieprzyjacielskie i znów cisza. Tylko karabiny za górą, to tu, to tam rozpoczynają nerwowe gadanie.

Pod wieczór ogień się wzmaga, przygotowuje się widać nocny atak na przeciwległe wzgórza. Artylerya rosyjska ostrzeliwuje naszą tyralierę, lecz odkryć jej nie sposób. Obsarwator przesuwał się już trzy razy, posunął się naprzód, bo drutu dołożono, ale darmo wygląda lornetką i próbuje szrapnelami zagłębienia gruntu. Dotąd jej nie odkryto.

W tem dojeżdża jeździec meldunkowy. Przywozi zwitek papieru. Oficer go czyta i twarz mu się rozjaśnia. „Baterya nieprzyjacielska we wsi za kościołem koło wysuniętej w bok chałupy".

Słyszy to Józek i zimny dreszcz go przeszedł. Toż to chałupa jego ojca, z której wyruszył na wojnę!

Telefon dźwięczy: „Sześć tysięcy dwieście szrapnelami". Józek wolno, uważnie zegar szrapnelu nastawia, korbę celownika przekręca, zamek przeczyszcza... raz jeszcze nastawienie kontroluje...

— Mazur, prędzej do pioruna, bo nam uciekną — woła oficer.

Józkowi ręce drżą. Jeszcze się chwilę waha... Padł strzał.

— Dwadzieścia pięć bliżej.

Mazur dyszy ciężko — nabija armatę. Znów strzał...

— Dziesięć dalej, granatem.

Mazurowi krew do głowy napływa. Myśli mu lecą, aże głowa dudni:

— Od szrapnela i strzecha ochroni, ale granat, to i mur przebije...

Długo waha się przy nabijaniu, ociera pot z czoła, po raz dziesiąty zegar i celownik ogląda, nie słyszy przeciągłego świstu szrapnela rosyjskiego, który padł tuż obok nich. Jeszcze się waha. Oficer znów przynagla do pośpiechu.

Huknął wystrzał.

Telefon dzwoni: „To samo raz jeszcze"... Rosyjskie armaty zamilkły, tylko karabiny wciąż grają, ale też coraz rzadziej.

Zapada zmrok. Bitwa spracowana dobiega już kresu. Może gdzieś na skrzydle front rosyjski przełamano. Nadjeżdża kłusem adjutant. Daje rozkaz ułanom:

— Patrol z 5 ludzi do wsi Droginia, przekonać się, czy nieprzyjaciel się cofnął.

Mazur otumaniony siedzi na paczce z gilzami i widzi, jak Różyc z patrolem odjeżdża... Szczęśliwe chłopisko.

Gdy noc zapadła, zaprzęgli baterye i pojechali szosą gdzieś w stronę Mszany i Limanowej.

Minęły tygodnie. Mazur, choć zawsze był chudy, wysechł bardziej jeszcze. Humoru ta chłopskiego nie stracił, ale znać, że coś mu we wnątrzu dolega. Nieraz gdy kładzie się na wiązce siana do snu na przodku armaty, wraca mu na myśl chwila z osieczańskiej bitwy. Tyle razy już ją przemyślał. Wie, że chyba dobrze wymierzył, że ile mógł, to kręcił na prawo, bo tam ino gruszkowy sad rośnie — to, choć i drzew szkoda, ale zawsze sad, to nie chałupa — wie, że zegar dobrze nastawił, ale pomimo to, mogło o kalenicę gdzie uwadzić... a wtedy... strach pomyśleć...

Raz, gdy tak o tem rozmyślał jadąc na armacie, minęło go kilku ułanów. Patrzy, aż tu Różyc z nimi jedzie.

— Wojtek, a bywajże — huknął, z armaty zeskoczył i do ułana dopadł. Uścisnęli se prawice. Wojtek chwali się, jakiego to konia sobie zdobył na kozakach, pewno był oficerski. Opowiada, jak go — schwycił w lesie...

W Mazurze serce mocno bije. Przytakuje mu ciągiem, konia chwali, ale myśli o czem innem. Wreszcie nie może się wstrzymać... Jeszcze się boi zadać pytanie, jeszcze się waha...

— Wojtek, a dojechałeś to wtedy do Drogini, co cię to z Osieczan wysłali.

— A pewno, jakże też, przecie te psubraty taki rikcug robiły, że ich zgonić było trudno!

— A chałupę moją widziałeś?

— A cóż się pytasz, Józek, ta przecie stoi, jak wół niedaleko drogi, teżbym ją nie widział? A obok niej to nawet stała w on dzień rosyjska harmata jedna — z pyskiem do góry zadartym, co ją granat w same krzyże zdzielił. Ociec się o ciebie pytał i pozdrowić kazali, piasku miał pełno na kapeluszu, bo ino co jeszcze z piwnicy wyszli, w której się schowali przed kozakami. Ano bywajże dalej zdrów — kobyła się rwie za innemi, to czas jechać...

I pokłusował za innymi żwawo. Mazur zdjął czapkę z głowy, i idąc koło swej armaty, w niebo się zapatrzył. *St. R.*

Nie wszystko złoto...

Spotykamy często ludzi, których Opatrzność nie obdarzyła majątkiem ni dobrobytem, skarzących się na nieszczęsny swój los. Spoglądając ku pałacom bogaczy, zazdroszczą im te rzekomo upośledzone osoby „szczęścia„ i „spokoju“. A jednak, czy w wszystkich pałacach mieszka szczęście, a w wszyskich chatach niedola i smutek? — Jeśli nad sprawą tą się namyślimy, przyznać będziemy musieli, że nawet wśród najuboższych znajdziemy szczęście niezmącone, podczas gdy smutek i kłopoty nawiedzają nawet tych ludzi, którzy zdają się stać na najwyższym szczeblu.

Kiedy Ludwik XIII, król Francyi, legł na łożu śmierci, wyciągnął do św. Wincentego à Paulo, który stał nad jego łożem, wychudłe swe ręce i w ten sposób się odezwał:

— Czy byłbyś kiedy powiedział, że te do szkieletu podobne ręce są ręce króla? Oto widzisz, nas wszystkich ludzi jeden czeka koniec: królów, mocarzy i żebraków.

I słuszność miał król, bo wypowiedział prawdę, której codziennymi jesteśmy świadkami.

Podobnie żona Ludwika XIV. wyrzekła razu pewnego:

— Częstokroć jestem w koronie i z berłem w ręku nieszczęśliwszą od żebraka! Bo czyż trudy i bóle nie zdołają się ukryć nawet w fałdach królewskiej purpury!

Nie wiele szczęśliwszą od żony Ludwika XIV była Marya Antonina, żona Ludwika XVI.

Gdy razu pewnego rodzina królewska wraz z synem bawiła w swym wiejskim zamku i przechadzała się po cienistym ogrodzie, zastąpiła im drogę biedna niewiasta, a zwracając się do chłopca, odezwała się:

— Ach, choć drobne daj mi wsparcie, a szczęśliwą będę jak królowa!

A na to syn królewski:

— Szczęliwą jak królowa? — Toć królowa, matka moja, wciąż płacze, szczęśliwą więc być nie może!

Widzimy stąd, że na ziemi nie ma prawdzwego, trwałego szczęścia. Wszyscy za niem gonimy, zazdroszcząc go sobie wza-

jemnie. Król, obarczony ciężarem odpowiedzialności, zazdrości rybakowi a rybak, gdy po całodziennej mozolnej pracy, o suchym kawałku chleba wróci z niczem do domu, zazdrości bogaczom, królom... I tak ustawicznie pragniemy czegoś nieuchwytnego, zamiast Bogu dziękować i za taką dolę, jaką nas obdarzył. Pamiętajmy i pocieszajmy się w złej doli, że mamy towarzyszy niedoli, którzy biedniejsi są jeszcze od nas!

Pobyt nasz na ziemi jest przecież tylko przejściowy; jesteśmy więc tylko pielgrzymami zdążającymi do wiecznej, prawdziwej ojczyzny. Im cierpliwiej zaś i z im większem poddaniem się woli Bożej udrękę znosić będziemy, tem więcej zbliżamy się do wrót wiecznej chwały i wiecznego szczęścia, tego szczęścia, któregośmy tak wielce pożądali.

Stworzenie złośnicy.

Bułgarskie podanie ludowe.

Lud bułgarski taką sobie opowiada historyę o stworzeniu pierwszej złośliwej niawiasty:

Było to za czasów Noego. Ten — wedle bułgarskiej legendy, miał tylko jedną żonę i jedną córkę. Gdy Bóg obwieścił Noemu klęskę potopu powszechnego, patryarcha zabrał się do zbudowania arki. W tym celu wezwał trzech majstrów budowniczych. Zanim jednak majstrowie zabrali się do roboty, jeden z nich, który snać upodobał sobie córę Noego, oświadczył, iż tylko pod tym warunkiem rozpocznie pracę, jeśli patryarcha da mu za żonę swą jedynaczkę. Noe zgodził się na to, ale kiedy o tej transakcyi dowiedzieli się dwaj pozostali majstrowie, obaj natychmiast zgłosili tę samą pretensyę o rękę pięknej dziewczyny.

Patryarcha był w wielkim kłopocie i nie wiedział, co począć. Z kłopotu wyzwolił go jednak dobrotliwy Stwórca, a to w ten sposób, iż nocą oślicę i kotkę Noego przemienił w kwitnące dziewczyny. Gdy dzień zawitał, Noe z podziwem ujrzał przed sobą trzy piękne dziewczyny, podobne do siebie, jak trzy jednakie róże, jakby były trzema bliźniemi siostrami. Podobieństwo było tak zupełne, iż patryarcha nie zdołał już odróżnić swej rodzonej córy od nowych tworów bożych. Ze zniknięcia jednak kotki i oślicy odgadł, jakie jest ich pochodzenie...

Gdy znów zgłosili się doń trzej majstrowie, dał każdemu z nich jedną z dziewcząt za żonę i ci, zadowoleni wielce, za-

brali się gorliwie do pracy około arki. Po jakimś czasie patryarcha spotkał jednego z zięciów i zapytał go:

— Jakie twe zdrowie i powodzenie? Mów, jak żyjesz z mą córką?

— Dobrze żyję z nią, ojcze! — odpowie zięć. — Ale, gdy córka twa się rozłości, wrzeszczy, jak oślica...

— Hm, — pomyślał sobie Noe — to ta, co pochodzi z oślicy!

Następnego dnia spotkał się z drugim zięciem i zapytał go o pożycie z żoną.

— Żyjemy dobrze! — odpowiedział — tylko, gdy się rozgniewa, drapie jak kocica...

— Aha, — pomyśli Noe — to ta, co powstała z kotki...

Na trzeci dzień spotkał się z trzecim zięciem i zagadnąwszy go, spytał o pożycie z żoną.

— Żyjemy z sobą bardzo dobrze! — odparł zięć z radością — Ledwie mogę zauważyć, że ktoś mieszka ze mną. Wciąż zajęta pracą, gospodaruje rzetelnie...

— Ach, to ta jest moją rodzoną córką! — pomyślał Noe i ucieszył się w duszy.

Od tych trzech — kończy bułgarska legenda — wywodzą się wszystkie niewiasty ziemi, w jednej trzeciej dobre, a w dwóch trzecich złośnice...

Walczcie z muchami!

Mamy obecnie lato. Jak każda pora roku ma ono i dobre strony, ma i złe. Jedną właśnie z takich złych stron lata, są muchy. Mucha — to owad nietylko dokuczliwy, natrętny, nietylko nieraz nam do żywego doskwiera, brzęcząc nad uchem, cisnąc się do jedzenia, brudząc wszystko, na czem siądzie, ale to owad przedewszystkiem szkodliwy. Lata ona wszędzie: siada na chorych, na trupach ludzkich i zwierzęcych, na rzeczach najwięcej brudnych, i obrzydliwych, a potem przelatuje na ludzi zdrowych, łazi po chlebie, wpada do strawy, i wszędzie zostawia te obrzydliwości, które się do niej przedtem przyczepiły. Gdy łazi po chorym lub po trupie, czepiają się do niej zarazki choroby, ona zaś zaś potem przenosi je na człowieka zdrowego — i w taki sposób zaraza przenosi się często z jednego na drugiego, z jednej wsi do drugiej.

Ta maleńka i na pozór niewinna muszka jest jednym z największych wrogów człowieka. W Ameryce, gdzie ludzie są praktyczniejsi, niż u nas, dawno już zrozumiano szkodliwość muchy — i oto wydano jej prawdziwą wojnę. Warto poznać sposoby, którymi Amerykanie i Anglicy walczą z muchami, bo możeby i u nas można było coś podobnego zrobić.

Przedewszystkiem Amerykanie, jak piszą gazety, zwracają się do dzieci, gdyż dzieciom łatwiej jest tępić muchy, niż starszym, którzy mają więcej zajęcia. Tłómaczą dzieciom, dlaczego muchy są szkodliwe, gdzie się gnieżdżą, wskazują sposoby ich tępienia. W jednej miejscowości w Ameryce rozdano dzieciom szkolnym drukowane pytania i odpowiedzi, które mają na celu zachętę do walki z muchami. Może nasi czytelnicy też zechcą zapoznać się z temi pytaniami, — może nawet i sami z tego co skorzystają. Oto one:

1) Gdzie rodzi się mucha?

W brudzie.

2) Gdzie żyje mucha?

W brudzie wszelkiego rodzaju.

3) Czy istnieje co zbyt brudnego dla muchy?

Nic, nie istnieje.

4) Gdzie mucha leci, zerwawszy się z nawozu lub ze spluwaczek?

Do kuchni, spiżarni lub stołowego pokoju.

4 *b)* Co mucha tam robi?

Siada na chlebie, owocach i jarzynach. Wpija łapki w masło i kąpie się w maślance.

5) Czy mucha siada na człowieku chorym na gruźlicę, tyfus lub cholerynę?

Siada i może następnie przelecieć na ciebie.

6) Czy więc mucha jest niebezpieczną?

Tak, mucha jest wrogiem niebezpieczniejszym dla człowieka, niż dzikie zwierzęta i gady jadowite.

7) Co za choroby może przenieść mucha na ciebie?

Tyfus, gruźlicę (suchoty), cholerynę i inne.

Jak? Na skrzydełkach i łapkach kosmatych.

8) Czy mucha zabiła już kogo?

Zabiła więcej żołnierzy podczas wojny hiszpańsko-amerykańskiej, niż kule Hiszpanów.

9) Gdzie zdarza się najwięcej wypadków tyfusu, gruźlicy (suchot), choleryny?

Tam gdzie jest najwięcej much.

10) A gdzie jest najwięcej much?

Tam gdzie jest najwięcej brudu.

11) Dlaczego powinniśmy tępić muchy?

Dlatego, aby nas nie tępiły.

12) Jak powinniśmy tępić muchy?

Przez utrzymanie czystości, usuwanie brudu z mieszkania i dokoła domu, za pomocą papieru lepkiego, nafty, przyrządów do chwytania much i t. d.

13) Tęp muchy, jak chcesz, abyś je tylko tępił.

Ale i starsi nie zasypiają gruszek w popiele. Gdy Amerykanie zajęli wyspę Kubę, gdzie grasowała śmiertelna choroba, zwana żółtą febrą, przekonali się, że tę febrę roznoszą głównie komary. Otóż praktyczni ci ludzie, nie żałując fatygi i kosztów, zaczęli tępić komary. Zalewali naftą błota, kałuże, w których te owady gnieździły się, tępili je milionami i rzeczywiście mieszkańcy wyspy Kuby przestali chorować tak bardzo na żółtą febrę.

W Afryce znowu było bardzo wiele jadowitych much, które tam nazywają **tsetse.** Gdy taka mucha ukąsi człowieka, dostaje on śpiączki, zazwyczaj kończącej się śmiercią. Otóż kiedy do Afryki przyjechali Anglicy, zaczęli tępić te muchy, wycinać zarośla, w których one gnieździły się — i w taki sposób zdołali przynajmniej w części zabezpieczyć się od śpiączki.

Tak robią Amerykanie i Anglicy. Chociaż nasze muchy nie wywołują swojemi ukąszeniami śmiertelnej śpiączki, jednak przenoszą na nas suchoty, tyfus, cholerynę, a komary często bywają przyczyną febry i malaryi. Czy nie należałoby więc zabrać się do tępienia tych szkodników?

Są na to rozmaite sposoby: w aptekach sprzedają niedrogo rozmaite papiery trujące lub lepkie, które, wiele much niszczą, sprzedają również proszek perski, który trzeba rozpylić w chacie, zamknąwszy uprzednio szczelnie drzwi i okna na jakiś czas, a muchy popadają (trzeba tylko kupować proszek bardzo mocny, bo słaby nie pomoże), i inne środki. Ale najlepszym środkiem jest utrzymanie czystości, niszczenie brudu koło chaty i budynków, bo muchy zwykle lęgną się w brudzie. Zastanówcie się nad tem, czytelnicy, i walczcie z małymi ale strasznymi wrogami człowieka, walczcie z muchami i komarami!

RÓŻNE RADY POŻYTECZNE.

Rażeni piorunem wymagają natychmiastowej pomocy, przy czem należy postępować, jak następuje.

1. Natychmiast rozluźnić zapięcia na szyi i piersi i przenieść odnośną osobę w miejsce chłodne. 2. Tu trzeba rażonego rozebrać całkiem i skrapiać mu twarz zimną wodą. 3. Następnie przedsiębierze się obmywanie całego ciała, przyczem nie używa się gąbki albo sukna, ale wyciera energicznie ciepłemi rękami.

Te trzy czynności zastosowuje się skutecznie przy ogłuszeniu lub omdleniu i w tych wypadkach wystarczają one, ale gdy już nastąpiła śmierć pozorna, to trzeba próbować przedewszystkiem przywrócenie czynności płuc i serca za pomocą sztucznego oddychania; szczotkując dłonie i podeszwy i nacierając mocno całe ciało na chłodno.

Powrót do życia objawia się zwykle pośród konwulsyi i silnej pulsacyi na głowie i szyi. Potu i senności nie należy w razie wystąpienia ich przerywać. Przy dalszym powrocie do zdrowia łuszczy się naskórek, ale ani to, ani inne występujące pozornie groźne objawy nie są zwykle niebezpieczne.

Jak ratować osoby zatrute grzybami lub inną trucizną. W wypadkach otrucia, zanim przybędzie wezwany lekarz, ważną jest rzeczą udzielić choremu szybkiej pomocy i dać mu stosowne lekarstwo. W razie otrucia arszenikiem, trzeba wywołać wymioty a następnie dawać magnezyę. W wypadku spożycia jadowitych grzybów trzeba wywołać wymioty, a potem dawać wodę z octem.

W razie otrucia merkuryuszem (żywe srebro) trzeba dać na wymioty a potem wodę z białkiem. Wymioty trzeba również wywołać w wypadku otrucia fosforem, poczem daje się palona magnezya w większej ilości. Przeciw strychninie działa odwar kory chinowej, przedewszystkiem jednak trzeba wprowadzić powietrze do płuc, żeby usunąć uduszenie. W razie otrucia się grynszpanem, co może być z miedzianych naczyń źle pobielanych, trzeba dać na wymioty a potem wodę z białkiem.

Maślanka jest na niektóre choroby bardzo dobrym środkiem dyetetyczno-leczniczym; zawiera wszelkie części pożywne mleka, wprawdzie mniej tłuszczu i cukru, ale więcej kwasu mlekowego, który nadaje jej przyjemny, orzewiający smak i sprowadza lekko rozwalniający skutek.

To też maślanka pomocną jest bardzo przy ostrych, chroniczno-gorączkowych cierpieniach, połączonych z zatwardzeniem żołądka lub skłonnością ku temu. Dr. Hildesheim zaleca ten środek pożywienia przeciw gorączce, a inni lekarze przeciw wrzodom żołądka.

Wydawca i redaktor odpowiedzialny: **Ks. Marceli Dziurzyński.**

Krakowska Drukarnia Nakładowa w Krakowie, Kopernika 8. — Pod zarządem J. Borkowicza

FIGLE I ŻARTY.

Całe szczęście.

— Niedawno jeszcze miałem pełne pudełko cygar, a teraz nie ma ani jednego? Co to ma znaczyć Janie?

— Niech jaśnie pan gorąco dziękuje za to Panu Bogu. Te cygara były dla pana stanowczo za mocne.

Bez mydła.

— Mamusiu, kiedy mają wszyscy oszczędzać z powodu drożyzny, to i ja chcę się do oszędności przyczynić.

— Dobrze, moje dziecko! Ale na czem ty możesz robić oszczędność? Może — cukierków i ciastek jeść nie będziesz?

— E, to — to nie! Ale Mamusia się skarży, że mydło takie drogie, to ja się wcale myć nie będę!

Marny interes.

Na dworcu, na rynku, przy którymś kościele,
zjawili się z wiosną, butów czyściciele.
Lecz stoją bezczynnie, źle im się powodzi,
Bo dziś pół Krakowa, wszak „bez butów chodzi".

W sądzie.

Sędzia: Przyznajesz się, żeś ukradł ten marny zegarek?

Oskarżony: To jednak nie moja wina, że ten pan nie miał lepszego!

Starożytne pochodzenie.

— Nie mogę znieść przechwałek tego Władysława. Wystaw sobie, nie dalej jak wczoraj utrzymywał, że rodzina jego należy do najstarodawniejszych w świecie, bo jej początek sięga potopu.

— Miał słuszność. Przecież Noe musiał w arce mieć choć jedną parę osłów.

W ogrodzie.

Ojciec (do syna ściągając go z jabłoni): Czekaj huncwocie, zaraz cię tu nauczę spodnie drzeć.

Syn: Ach, tatku, ja sam to potrafię, tylko mię nie bijcie

